



JOHN

GRISHAM

Ułaskawienie

Rozdział 1

W dobiegającym końca okresie prezydentury, skazanej na mniejsze zainteresowanie ze strony historyków niż jakakolwiek inna od czasów Williama Henry’ego Harrisona (trzydzieści jeden dni od zaprzysiężenia do śmierci), Arthur Morgan spotkał się w Gabinetcie Ovalnym z jedynym przyjacielem, jaki mu został, i zastanawiał się nad ostatnimi posunięciami. Czuł w tamtym momencie, że decyzje podjęte w minionych czterech latach były chybione, brakowało mu też niezachwianego przekonania, że mógłby w jakiś sposób, tak późno w tej grze, wszystko naprawić. Jego przyjaciel podzielał te odczucia, choć jak zawsze prawie w ogóle się nie odzywał, a jeśli już coś powiedział, były to wyłącznie słowa, które prezydent chciał usłyszeć.

Ich uwagę zajmowały ulaskawienia — rozpaczliwe błagania złodziei, malwersantów i łgarzy. Niektórzy wciąż przebywali w więzieniach, inni nigdy nie byli zamknięci, niemniej każdy

z nich marzył o odzyskaniu dobrego imienia i upragnionych praw obywatelskich. Utrzymywali, że są przyjaciółmi albo przyjaciółmi przyjaciół, albo zagorzałymi zwolennikami prezydenta, choć bardzo niewielu miało sposobność okazać to poparcie przed upływem kadencji. Jakie to smutne, że po czterech burzliwych latach przewodzenia wolnemu światu wszystko, co zostało, to żalosna sterta żądań od bandy łajdaków. Któremu złodziejowi pozwolić, żeby znowu kradł? Tak brzmiało doniosłe pytanie, na które musiał sobie odpowiedzieć prezydent, a godziny mijały.

Tym ostatnim przyjacielem był Critz, kumpel jeszcze z bractwa, z czasów, gdy studiowali na Uniwersytecie Cornella, kiedy Morgan przewodniczył samorządowi studenckiemu, a Critz pilnował, żeby w urnach nie brakowało głosów. Przez ostatnie cztery lata Critz pełnił funkcje rzecznika prasowego, szefa personelu Białego Domu, doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, a nawet sekretarza stanu, choć to ostatnie stanowisko piastował jedynie przez trzy miesiące i został pospiesznie odwołany, gdy jego nieszablonowy sposób uprawiania dyplomacji doprowadził bez mała do wybuchu trzeciej wojny światowej. Ostatnia nominacja Critza nastąpiła w październiku, w gorączkowych tygodniach walki o reelekcję. Kiedy wyniki badania opinii publicznej wskazywały, że kampania wyborcza prezydenta ponosi fiasko w co najmniej czterdziestu stanach, Critz przejął nad nią kontrolę i udało mu się zrazić do Morgana resztę kraju poza, nie wiedzieć czemu, Alaską.

To były historyczne wybory. Nigdy wcześniej urzędujący prezydent nie dostał tak mało głosów. Mówiąc dokładnie, trzy głosy elektorskie, wszystkie z Alaski, jedyne stanu, którego

Morgan zgodnie z radą Critza nie odwiedził. Pięćset trzydzieści pięć głosów na jego przeciwnika i trzy na prezydenta Morgana. Wyrażenie „dotkliwa porażka polityczna” nawet w minimalnym stopniu nie oddawało ogromu klęski, jaką poniósł.

Kiedy głosy zostały policzone, kontrkandydat, posłuszny złym doradcom, postanowił zakwestionować wyniki z Alaski. „Dlaczego nie zebrać wszystkich pięciuset trzydziestu ośmiu głosów?” — argumentował. Już nigdy żaden kandydat na prezydenta nie będzie miał okazji pokonać przeciwnika do zera, odnieść tak miażdżącego zwycięstwa. Przez sześć tygodni urzędujący prezydent cierpiał jeszcze bardziej, gdy tymczasem na Alasce trwało piekło procesów. Kiedy Sąd Najwyższy przyznał mu w końcu te trzy głosy, wypił z Critzem potajemnie butelkę szampana.

Prezydent Morgan zakochał się w Alasce, choć potwierdzony wynik wyborów przyznawał mu zwycięstwo zaledwie siedemnastoma głosami.

Nie powinien był jeździć po kraju.

Przegrał nawet w Delaware, rodzinnym stanie, w którym światły niegdyś elektorat zapewnił mu osiem szczęśliwych lat na urządzie gubernatora. Morgan nigdy nie znalazł czasu, żeby odwiedzić Alaskę, jego przeciwnik zaś kompletnie zignorował Delaware — obyło się bez imprez wartych wspomnienia, spotów w telewizji, bez choćby jednego przystanku na trasie wyborczej. Mimo to zgarnął tam pięćdziesiąt dwa procent głosów!

Critz siedział w głębokim skórzanym fotelu i trzymał w ręce notes z listą setek spraw do natychmiastowego załatwienia. Patrzył, jak prezydent chodzi powoli od jednego okna do drugiego, wpatruje się w ciemność i marzy o tym, co mogłoby

być. Z pewnością czuł się zdołowany i upokorzony. W wieku pięćdziesięciu ośmiu lat jego życie się skończyło, kariera legła w gruzach, małżeństwo się rozpadło. Pani Morgan zdążyła już wrócić do Wilmington i otwarcie naśmiewała się z pomysłu zamieszkania w drewnianej chacie na Alasce. W głębi serca Critz nie wierzył, że przyjaciel potrafiłby spędzić resztę życia, polując i łowiąc ryby, choć perspektywa zamieszkania w odległości ponad trzech tysięcy kilometrów od pani Morgan mocno przemawiała do wyobraźni. Mogliby wygrać w Nebrasce, gdyby nie zadzierająca nosa pierwsza dama, która mówiąc o tamtejszej drużynie futbolowej, użyła nazwy Soonersi, a ci, jak wiadomo wszystkim innym, reprezentują Oklahomę.

Soonersi z Nebraski!

Z dnia na dzień Morgan stracił tyle w sondażach w Nebrasce i Oklahomie, że nigdy nie udało mu się tego odrobić.

W Teksasie pierwsza dama spróbowała słynnego chili con carne i zaczęła wymiotować. Kiedy zabierano ją do szpitala, jeden z mikrofonów przechwycił powtarzane przez nią słowa: „Jak wy, ciemniacy, możecie jeść taką obrzydliwą breję?”.

Nebraska dysponowała pięcioma głosami elektorskimi. Teksas miał ich trzydzieści cztery. Gafę związaną z drużyną futbolową jakoś by odkręcili. Ale żaden kandydat nie miał szans na odzyskanie głosów po tak pogardliwym opisie teksańskiego chili.

Co za kampania! Critz miał ochotę napisać o niej książkę. Ktoś przecież musiał uwiecznić tę katastrofę.

Ich prawie czterdziestoletnia przyjaźń dobiegała końca. Critz ustawił się już w kolejce po pracę u dostawcy sprzętu wojskowego dla armii, u którego spodziewał się zarabiać

dwieście tysięcy dolarów rocznie, miał też zamiar objeżdżać kraj z odczytami, po pięćdziesiąt tysięcy za każdy, jeśli znalazłby się ktoś wystarczająco zdesperowany, żeby tyle zapłacić. Po latach spędzonych w służbie państwu nie miał centa przy duszy, błyskawicznie się starzał i chciał jak najszybciej zarobić jakieś pieniądze.

Prezydent sprzedał z ogromnym zyskiem swój piękny dom w Georgetown. Kupił niewielkie ranczo na Alasce, gdzie ludzie najwyraźniej go podziwiali. Planował, że spędzi tam resztę życia, będzie polował, łowił ryby, może napisze wspomnienia. Czymkolwiek miał się zajmować na Alasce, nie mogło się to wiązać w żaden sposób z polityką i Waszyngtonem. Nie przewidywał dla siebie roli emerytowanego męża stanu, czcigodnego starca uświetniającego cudze przyjęcia, mędrca dzielącego się doświadczeniami. Żadnych pożegnalnych objazdów, przemówień na kongresach partyjnych, fundowania katedr nauk politycznych na uniwersytetach. Nie życzył sobie nawet biblioteki prezydenckiej. Naród wypowiedział się jasno i dobitnie. Skoro wyborcy go nie chcieli, Morgan odpłaci im tą samą monetą.

— Musimy podjąć decyzję w sprawie Cuccinella — odezwał się Critz.

Prezydent nadal stał przy oknie, wpatrywał się w pustkę ciemności i był myślami przy Delaware.

— Kogo?

— Figgy'ego Cuccinella, reżysera filmowego, skazanego za uprawianie seksu z młodą gwiazdką.

— Jak młodą?

— Piętnastoletnią, jak mi się wydaje.

— Rzeczywiście młoda.

— Tak, to prawda. Uciekł do Argentyny, gdzie ukrywa się od dziesięciu lat. Zateśnił teraz za ojczyznę, chce wrócić i znowu kręcić okropne filmy. Pisze, że sztuka wzywa go do domu.

— Może to młode dziewczęta wzywają go do domu.

— To też.

— Siedemnastolatka bym się nie przejął. Piętnastolatka wydaje mi się jednak za młoda.

— Jest gotów dać pięć milionów dolarów.

Prezydent odwrócił się i spojrzał na Critza.

— Oferuje pięć milionów za ułaskawienie?

— Załatwi to od ręki. Pieniądze będą przelane ze Szwajcarii.

Teraz jest tam trzecia nad ranem.

— Gdzie miałyby wpłynąć?

— Mamy konta za granicą. To proste.

— Jak zareagowałyby prasa?

— Nie przebierałaby w słowach.

— Nigdy nie przebiera w słowach.

— Tym razem byłaby wyjątkowo nieprzyjemna.

— Tak naprawdę prasa guzik mnie obchodzi — oświadczył

Morgan.

To po co pytałeś? — miał ochotę powiedzieć Critz.

— Czy te pieniądze można namierzyć? — zapytał prezydent i ponownie odwrócił się do okna.

— Nie.

Prezydent zaczął się drapać prawą ręką po karku, co robił zawsze, gdy zmagał się z podjęciem jakiejś decyzji. Na dziesięć minut przed niemal pewnym zrzućciem atomówki na Koreę Północną drapał się tak mocno, że pojawiła się krew, która pobrudziła mu biały kołnierzyk koszuli.

— Odpowiedź jest odmowna — burknął w końcu. — Piętnastolatka jest stanowczo za młoda.

Drzwi otworzyły się bez pukania i do środka wlaź bezceremonialnie Artie Morgan, syn prezydenta, trzymający w jednej ręce heinekena, w drugiej jakieś papiery.

— Rozmawiałem właśnie z CIA — oznajmił nonszalancko. Miał na sobie sprane dżinsy, nie nosił skarpetek. — Maynard już tu jedzie. — Rzucił papiery na biurko i wyszedł z pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Artie wziąłby te pięć milionów bez wahania, pomyślał Critz. Niezależnie od wieku dziewczyny. Piętnastolatka na pewno nie okazałaby się za młoda dla Artiego. Wygraliby w Kansas, gdyby Artie nie został przyłapany w motelu w Topece z trzema cheerleaderkami, z których najstarsza miała siedemnaście lat. Grający pod publiczność prokurator wycofał w końcu oskarżenia — dwa dni po wyborach — kiedy dziewczyny podpisały zeznania, że nie uprawiały seksu z Artiem. Niemniej miały taki zamiar i w rzeczywistości od igraszek dzieliły je sekundy, tyle że matka jednej z nich zapukała wtedy do motelowego pokoju i zapobiegła orgii.

Prezydent usiadł na bujanym fotelu, obitym skórą, i udawał, że przegląda jakieś bezwartościowe dokumenty.

— Jakie są najświeższe wiadomości o Backmanie? — zapytał.



W trakcie osiemnastu lat pracy na stanowisku dyrektora CIA Teddy Maynard odwiedził Biały Dom mniej niż dziesięć razy. Nigdy nie był tam na obiedzie (zawsze wymawiał się względami zdrowotnymi) i nigdy — żeby powitać jakiegoś

zagranicznego ważniaka (coś takiego w ogóle go nie obchodziło). Jeszcze kiedy mógł chodzić, zjawiał się okazjonalnie, żeby omówić z aktualnie urzędującym prezydentem to, co akurat się działo, lub spotkać się z jednym czy dwoma facetami mającymi wpływ na politykę państwa. Odkąd był przykuty do wózka inwalidzkiego, z Białym Domem rozmawiał wyłącznie przez telefon. Dwukrotnie zdarzyło się nawet, że wiceprezydent przyjechał do Maynarda do Langley.

Wózek inwalidzki stał się idealną wymówką, by gdzieś się pojawić albo zostać w domu, albo robić to, na co Maynard miał ochotę — to była jedyna korzyść z tego stanu rzeczy. Nikomu nie uśmiechało się pchanie wózka starego kaleki.

Przez pięćdziesiąt lat był szpiegiem, ale dopiero teraz stać go było na luksus patrzenia bezpośrednio za siebie. Podróżował w nieoznakowanej białej furgonetce — z kuloodpornymi szybami, ołowianym opancerzeniem, dwoma uzbrojonymi po zęby chłopakami siedzącymi za równie solidnie uzbrojonym kierowcą — na wózku zamocowanym do podłogi samochodu, zwrócony tyłem do kierunku jazdy, żeby sam niewidziany, mógł przyglądać się ruchowi na ulicy. W pewnej odległości jechały za nim dwie inne furgonetki i jakakolwiek nieprzemyślana próba zbliżenia się do pojazdu dyrektora byłaby natychmiast udaremniona. Nie spodziewano się co prawda czegoś takiego. Większość świata uważała, że Teddy Maynard albo już umarł, albo dogasa w jakimś tajnym domu opieki, gdzie posyła się starych szpiegów, żeby spokojnie dożyli swoich dni.

Teddy chciał, żeby ludzie tak myśleli.

Siedział opatulony grubym szarym kocem. Opiekował się nim Hoby, lojalny asystent. Podczas gdy furgonetka mknęła

obwodnicą ze stałą szybkością stu kilometrów na godzinę, Teddy sączył zieloną herbatę, którą Hoby nalał mu z termosu, i przyglądał się jadącym za nimi samochodom. Hoby siedział obok wózka inwalidzkiego na skórzanym stołku, zamontowanym specjalnie dla niego.

Teddy upił łyk herbaty i zapytał:

— Gdzie w tej chwili jest Backman?

— W swojej celi — odpowiedział Hoby.

— Nasi ludzie są u naczelnika więzienia?

— Siedzą w jego gabinecie i czekają.

Kolejny łyk z papierowego kubka trzymanego ostrożnie w obu rękach. Te dłonie były wymizerowane, żylaste, miały kolor odtłuszczonego mleka, jakby już obumarły i cierpliwie czekały na śmierć reszty ciała.

— Ile czasu zajmie wywiezienie go z kraju?

— Około czterech godzin.

— Zgodnie z planem?

— Wszystko jest przygotowane. Czekamy na zielone światło.

— Mam nadzieję, że ten matoł myśli tak samo jak ja.



Critz i wspomniany matoł wpatrywali się w ściany Gabinetu Owalnego. Ciężące im milczenie przerywali od czasu do czasu uwagami o Joelu Backmanie. Musieli o czymś rozmawiać, ale żaden z nich nie miał zamiaru powiedzieć na głos tego, co rzeczywiście zaprzętało mu myśli.

Czy to naprawdę się działo?

Czy to wreszcie koniec?

Czterdzieści lat. Od Uniwersytetu Cornella do Gabinetu

Owalnego. Koniec był tak nagły, że nie mieli czasu przygotować się odpowiednio na tę chwilę. Liczyli na następne cztery lata. Cztery lata w blasku chwały, podczas których zapewniliby sobie odpowiednią schedę, by potem odjechać śmiało w stronę zachodzącego słońca.

Choć była późna noc, mieli wrażenie, że ciemność na zewnątrz jeszcze się pogłębiła. Okna wychodzące na ogród różany stały się czarne. Zegar na kominku odliczał nieubłaganym tykaniem czas, jaki im pozostał.

— Jak zareaguje prasa, jeśli ułaskawię Backmana? — zapytał prezydent, nie po raz pierwszy zresztą.

— Wpadnie w szal.

— To może być zabawne.

— Ty będziesz już daleko.

— Tak, będę daleko.

Po przekazaniu władzy nazajutrz w południe jego ucieczka z Waszyngtonu zacznie się od lotu prywatnym odrzutowcem (należącym do jednego z koncernów naftowych) do willi starego przyjaciela na Barbadosie. Na polecenie Morgana usunięto stamtąd telewizory, zakazano dostarczania dzienników i magazynów, odłączono wszystkie telefony. Nie chciał mieć kontaktu z nikim, nawet Critzem, a zwłaszcza z panią Morgan, przez co najmniej cztery miesiące. Nie zamierzał się niczym przejmować, nawet gdyby Waszyngton stanął w ogniu. Prawdę mówiąc, w głębi duszy liczył, że tak właśnie będzie.

Planował, że z Barbadosu dotrze niezauważony do chaty na Alasce i tam nadal będzie ignorował świat. Za oknami z wolna mijałaby zima, a on czekałby na wiosnę.

— Powinniśmy go ułaskawić? — zapytał.

— Prawdopodobnie — odpowiedział Critz.

Prezydent zaczął używać liczby mnogiej, co robił nieodmiennie, gdy trzeba było podjąć trudną i przypuszczalnie niepopularną decyzję. Przy łatwych trzymał się liczby pojedynczej. Kiedy potrzebował podpory, a zwłaszcza gdy czuł, że dobrze byłoby mieć kogoś, na kogo da się zrzucić winę, wszczywał proces decyzyjny i włączał w to Critza.

Critz brał winę na siebie od czterdziestu lat i choć z całą pewnością przyzwyczał się do tego, powoli zaczynał być zmęczony.

— Można z dużym prawdopodobieństwem powiedzieć, że gdyby nie Joel Backman, nie byłoby nas tutaj — odezwał się.

— Pewnie masz rację — przytaknął prezydent.

Morgan zawsze wcześniej utrzymywał, że został wybrany dzięki świetnej kampanii wyborczej, własnej charyzmatycznej osobowości, niesamowitej orientacji w sprawach państwowych i jasnej wizji przyszłości Ameryki. Konieczność przyznania na koniec, że zawdzięczał cokolwiek Joelowi Backmanowi, niemal go zaszokowała.

Critz zaś był zbyt bezduszny i zbyt zmęczony, żeby coś mogło go zaszokować.

Sześć lat wcześniej skandal związany z Backmanem ogarnął niemal cały Waszyngton i ostatecznie położył się cieniem na działaniach administracji. Nad popularnym prezydentem zgromadziły się chmury, torując drogę Arthurowi Morganowi, który na niepewnych nogach wszedł do Białego Domu.

Teraz, kiedy wychodził stąd na równie niepewnych nogach, cieszył się na samą myśl, że gdyby tylko zechciał, mógłby wymierzyć ostatni policzek waszyngtońskiemu establishmentowi, który przez cztery lata go ignorował. Ułaskawienie Joela Backmana zatrzęsłoby ścianami wszystkich

urzędów w stolicy i wywołało bełkotliwą wrzawę w mediach. Ten pomysł podobał się Morganowi. Gdy on będzie się opalał na Barbadosie, miasto ogarnie paraliż, bo kongresmani ponownie zażądają przesłuchań, prokuratorzy zaczną się krygować przed kamerami, a niezdolne gadające głowy zawładną wiadomościami sieci kablowych.

Prezydent uśmiechnął się do ciemności.

▲ ▲ ▲

Na moście Arlington Memorial nad Potomakiem Hoby ponownie napełnił papierowy kubek dyrektora zieloną herbatą.

— Dziękuję — powiedział Teddy cicho. — Co nasz chłopiec zamierza, kiedy opuści urząd? — zapytał.

— Ucieknie z kraju.

— Powinien był zniknąć dużo wcześniej.

— Chce spędzić miesiąc na Karaibach, lizać rany, ignorować świat, dąsać się i czekać, aż ktoś okaże mu cień zainteresowania.

— A pani Morgan?

— Już wróciła do Delaware i gra w brydża.

— Rozchodzą się?

— Jeśli będzie miał dość rozumu. Kto wie?

Teddy ostrożnie napił się herbaty.

— Jakie mamy pole manewru, jeśli Morgan stanie okoniem?

— Bardzo wątpię, żeby stawał okoniem. Wstępne rozmowy poszły bardzo dobrze. Critz jest najwyraźniej po naszej stronie. W tej chwili znacznie lepiej od Morgana orientuje się w sytuacji. Wie doskonale, że nigdy nie zobaczyliby nawet Gabinetu Owalnego, gdyby nie skandal z Backmanem.

— Pytałem cię, jakie mamy pole manewru, jeśli stanie

okoniem.

— Tak naprawdę to żadne. Jest idiotą, ale czystym jak łąza.

Skręcili z Constitution Avenue w Osiemną Ulicę i wkrótce znaleźli się przy wschodniej bramie Białego Domu. W ciemności zmaterializowali się mężczyźni uzbrojeni w karabiny maszynowe, a potem agenci Secret Service w czarnych trenczach, którzy zatrzymali furgonetkę. Wymieniono hasła, zatrzeszczały radiotelefony i po kilku minutach Teddy został wyniesiony z opancerzonego samochodu. Już w środku obowiązkowa kontrola wózka nie wykazała niczego poza obecnością kalekiego, opatulonego kocem starca.



Artie, tym razem bez heinekena, lecz tak samo bez pukania, wsadził głowę przez uchylone drzwi i oznajmił:

— Maynard już jest.

— A zatem żyje — powiedział prezydent.

— Ledwie.

— No to wtoczcie go.

Hoby i Priddy, zastępca Maynarda, weszli za wózkiem do Gabinetu Owalnego. Prezydent i Critz przywitali gości, wskazali im miejsca naprzeciwko kominka. Chociaż Maynard unikał Białego Domu, Priddy praktycznie tam mieszkał, bo codziennie relacjonował prezydentowi sprawy dotyczące wywiadu.

Kiedy się rozgaszczali, Teddy omiótł pokój spojrzeniem, jakby szukał pluskiew i innych urządzeń podsłuchowych. Był niemal pewny, że niczego tu nie ma, bo takie praktyki skończyły się po aferze Watergate. Nixon nafaszerował Biały Dom taką ilością kabli, że starczyłoby ich dla niewielkiego

miasta, ale drogo za to zapłacił. Niemniej Teddy miał przy sobie odpowiednie urządzenie. Nad ośką wózka, kilka centymetrów pod siedziskiem, starannie ukryto magnetofon z bardzo czułym mikrofonem, który zarejestruje każdy dźwięk, jaki rozlegnie się w czasie następujących trzydziestu minut.

Maynard próbował uśmiechnąć się do prezydenta, choć tak naprawdę miał ochotę powiedzieć coś w rodzaju: Nie mam najmniejszych wątpliwości, że jesteś najbardziej ograniczonym politykiem, z jakim się zetknąłem. Tylko w Ameryce taki matoł jak ty może zająć tak wysoko.

Prezydent Morgan uśmiechnął się do Teddy'ego Maynarda, choć tak naprawdę miał ochotę powiedzieć coś w rodzaju: Powinienem cię wyrzucić cztery lata temu. Twoja agencja bez przerwy przynosi wstyd naszemu krajowi.

Teddy: Przeżyłem szok, gdy okazało się, że zdołałeś wygrać chociaż w jednym stanie.

Morgan: Nie znalazłbyś terrorysty, nawet gdyby ogłaszał się na billboardach.

Teddy: Powodzenia w wędkowaniu. Pewnie nie złowisz nawet tylu pstrągów, ile miałeś głosów elektorskich.

Morgan: Dlaczego po prostu nie zdechniesz? Przecież wszyscy mnie zapewniali, że długo nie pociągniesz.

Teddy: Prezydenci przychodzą i odchodzą, a ja nie odejdę nigdy.

Morgan: To Critz nalegał, żeby cię zatrzymać. To jemu podziękuj za tę posadę. Ja chciałem cię wywalić już w dwa tygodnie po moim zaprzysiężeniu.

— Czy ktoś ma ochotę na kawę? — zapytał głośno Critz.

— Nie — odparł Teddy.

Kiedy to zostało ustalone, Hoby i Priddy podobnie odmówili.

Ponieważ ludzie z CIA nie chcieli kawy, prezydent powiedział:

— Tak, poproszę, z dwiema kostkami cukru.

Critz skinął głową do sekretarki czekającej w na pół otwartych drzwiach, po czym odwrócił się do obecnych i oświadczył:

— Nie mamy dużo czasu.

— Przyjechałem, żeby porozmawiać o Joelu Backmanie — zagaił Teddy.

— Tak, dlatego tu jesteś — mruknął prezydent.

— Jak wiesz — mówił dalej dyrektor CIA, bez mała ignorując prezydenta — pan Backman poszedł do więzienia, ale nie puścił pary z ust. Nadal jest w posiadaniu kilku tajemnic, które mówiąc szczerze, mogłyby zagrażać bezpieczeństwu narodowemu.

— Nie możesz go zabić — wszedł mu w słowo Critz.

— Owszem, nie możemy brać na muszkę amerykańskich obywateli, Critz. To niezgodne z prawem. Wolimy, żeby robił to ktoś inny.

— Nie bardzo rozumiem — powiedział prezydent.

— Oto plan. Jeśli ułaskawisz Backmana, a on to zaakceptuje, wywieziemy go z kraju w ciągu kilku godzin. Musi przystać na to, że resztę życia spędzi w ukryciu. To nie powinno być problemem, bo całkiem sporo osób chciałoby zobaczyć go w trumnie, o czym dobrze wie. Przewieziemy go za granicę, prawdopodobnie do Europy, gdzie łatwiej będzie nam prowadzić obserwację. Dostanie nową tożsamość. Stanie się wolnym człowiekiem i z czasem ludzie zapomną o Joelu Backmanie.

— Ta historia na tym się nie skończy — włączył się ponownie Critz.

— Nie. Odczekamy, powiedzmy, rok, a potem w odpowiednich miejscach dowiedzą się tego i owego. Znajdą pana Backmana, zabiją go, a kiedy to zrobią, wiele naszych problemów zostanie rozwiązanych.

Nastąpiło długie milczenie, gdy Teddy wpatrywał się w Critza, a potem w prezydenta. Kiedy upewnił się, że wystarczająco zbił ich z tropu, mówił dalej:

— To bardzo prosty plan, panowie. Pozostaje kwestia tego, kto go zabije.

— A ty będziesz to obserwował? — zapytał Critz.

— Bardzo uważnie.

— Kto chce mu się dobrać do skóry? — spytał prezydent.

Teddy rozłożył lekko żyłaste dłonie, a potem spojrzął na nich niczym nauczyciel zwracający się do maluchów z trzeciej klasy.

— Rosjanie, może Chińczycy, może Izraelczycy. Mogą być też inni.

Oczywiście, że byli inni, nikt jednak nie spodziewał się po Teddym, że powie wszystko, co wie. Nigdy tego nie robił i nie zamierzał robić, bez względu na to, kto był aktualnie głową państwa i jak dużo czasu zostało obecnemu prezydentowi do opuszczenia Gabinetu Owального. Prezydenci pojawiali się i znikali, niektórzy urzędowali cztery lata, inni osiem. Jedni uwielbiali szpiegowski fach, innych obchodziły jedynie ostatnie wyniki sondaży popularności. Morgan okazał się wyjątkowo niekompetentny w polityce zagranicznej, a ponieważ jego rządy kończyły się za kilka godzin, Teddy na pewno nie zdradziłby mu więcej, niż było to konieczne, by podpisał ułaskawienie.

— Dlaczego Backman miałby iść na taki układ? — zapytał Critz.

— To nie jest przesądzone — odpowiedział Teddy. — Nie zapominajmy jednak, że siedzi w izolatce od sześciu lat. To dwadzieścia trzy godziny dziennie w ciasnej celi. Tylko godzina na świeżym powietrzu. Trzy przysznice tygodniowo. Kiepskie żarcie. Mówią, że stracił ponad dwadzieścia pięć kilogramów. Słyszałem, że nie za dobrze to znosi.

Dwa miesiące wcześniej, po porażce wyborczej, kiedy Teddy Maynard obmyślił plan z ułaskawieniem, pociągnął za kilka z wielu sznurków, na skutek czego warunki odbywania kary przez Backmana zdecydowanie się pogorszyły. Temperatura w jego celi spadła o ponad dziesięć stopni i od miesiąca więzień cierpiał z powodu okropnego kaszlu. Jego jedzenie, w najlepszym razie pozbawione smaku, poddawano ponownej obróbce i serwowano mu zimne. Spluczka klozetowa nie działała przez połowę czasu. Strażnicy budzili go w nocy po kilka razy. Zmniejszono liczbę przysługujących mu rozmów telefonicznych. Biblioteka prawnicza, z której korzystał dwa razy w tygodniu, nagle drastycznie ograniczyła dostęp do księgozbiorów. Backman, prawnik, znał swoje prawa, zaczął grozić, że pozwie administrację więzienia i władze państwowe, lecz jak do tej pory tego nie zrobił. Jednak rozpoczęta walka drogo go kosztowała. Prosił już o proszki nasenne i prozac.

— Chcesz, żebyśmy ułaskawił Joela Backmana, a potem każesz go zamordować? — zapytał prezydent.

— Tak — odpowiedział Teddy otwarcie. — Ale nie my wydamy takie polecenie.

— Niemniej zostanie zamordowany.

— Tak.

— I jego śmierć jest w interesie naszego bezpieczeństwa narodowego?

— Święcie w to wierzę.